

Maria Szyszkowska

Wspólnota dzieci i ludzi sędziwych

Palestra 39/5-6(449-450), 101-102

1995

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.



Prawo i nasza codzienność

Maria Szyszkowska

Wspólnota dzieci i ludzi sędziwych

Narosłe mity, w tym poglądy przejmowane na mocy tradycji, zaciemniają widzenie wielu istotnych spraw. Utrwalony został pogląd Arystotelesa, umocniony zarówno przez marksizm, jak i nurty chrześcijańskie – że rodzina stanowi elementarny składnik życia społecznego. Tym samym więzi rodzinne uzyskały nadrzędne miejsce w hierarchii powiązań społecznych. Przekonanie to leży u podstaw naszego ustawodawstwa. Bezdyskusyjnie rozstrzyga się w tym duchu konflikty. Z reguły np. o oddaniu dziecka w czyjeś ręce decyduje bliskość pokrewieństwa.

Złudzenie doskonałości więzi rodzinnych doszło zresztą do głosu wcześniej niż u Arystotelesa, bo w filozofii Platona. Był okres w jego twórczości, gdy głosił nihilizm prawny. Wyrażał wtedy przekonanie, że powiązanie obywateli faktycznymi, jak i domniemanymi więzami krwi będzie stanowiło skuteczną zaporę dla przestępstw i zbrodni. Twierdził tak, mimo że jednostkę nie zaś rodzinę czynił elementarnym składnikiem społeczeństwa.

Prawnicy wiedzą więcej niż inne grupy zawodowe o dramatach rozgrywających się w kręgach osób spokrewnionych. O nienawiści łączącej małżonków tak silnie jak miłość. Wyraził to zresztą w formie artystycznej znakomicie August Strindberg w *Tańcu śmierci*. Właśnie prawnicy lepiej niż ogół społeczeństwa zdają sobie sprawę o zdarzającym się nie tak rzadko braku miłości do dzieci, o znęcaniu się nad nimi, o czynach kazirodczych – ale również i o bezlitosnym stosunku dorosłych już dzieci do rodziców i dziadków. To bywa przemilczane. A wszak miarą człowieczeństwa jest stosunek do słabszych i bezbronnych.

Rozstrzygając konflikty określonej rodziny, najczęściej oddaje się dziecko biorąc pod uwagę więzi krwi, nie bacząc na stopień psychicznych powiązań. A może być on większy np. z babcią niż z matką, a zdarza się, że jeszcze ściślejszy – z „przyszywaną” ciotką. Uczucia dziecka nie są dostatecznie poważnie brane pod uwagę. Myślę, że warte przypomnienia są żądania J.S. Milla, który domagał się, by państwo sprawowało opiekę nad tymi, którzy nie są w stanie troszczyć się o swoje własne interesy. Chodzi tu nie tylko o dzieci, ale również – chociaż to inny problem – o ludzi chorych psychicznie, o zwierzęta narażone tak często na ludzką brutalność i sadyzm. Wyobraźnia podpowiada, by domagać się ewentualnej interwencji w razie niewłaściwego stosunku do

ludzi sędziwych, bo przecież jedynie niechciana śmierć może uwolnić nas od kłopotów wieku sędziwego.

W najtrudniejszym położeniu znajdują się w rodzinie najstarsi i najmłodszy. Ci ostatni – bezradne dzieci, zdane na czyjąś opiekę, jeszcze nie umiejące rozstrzygać za siebie. Najstarsi zaś, to często ludzie słabi fizycznie, nieraz niedołążni, skazani pod koniec życia na łaskę tych, którym nie szczędzili wcześniej wysiłków i starań. Spragnieni czułości są jednakowo owi najstarsi i najmłodszy.

Dlaczego o tym piszę? Nie chodzi mi jedynie o konstatację tego, co często się wstydliwie ukrywa. Przyświeca mi chęć przypomnienia sensowności pomysłu, by tworzyć domy dziecka i domy starców we wspólnej zabudowie architektonicznej. Przy zachowaniu biurokratycznych odrębności obu domów – można zarazem tworzyć – poprzez położenie – faktyczną wspólnotę ludzi sędziwych i dzieci. Wtedy żadna ze stron nie będzie pozbawiona uczuć i czułości. Starania o taki dom, wspólny dla odległych kalendarzowo generacji, dom mający głębokie uzasadnienie psychologiczne, podjęła kilkanaście lat temu w Polsce jedna z doświadczonych pielęgniarek. Popierała te starania swoim autorytetem psychiatra i psycholog – Kazimierz Dąbrowski. Wtedy pozostało to bez echa, a dziś?

Jeśli uświadomimy sobie, że jednostka nie zaś rodzina stanowi autonomiczny składnik życia społecznego, to może w większym stopniu będzie się respektować prawo wyboru osoby bliskiej, a więc nie z konieczności tej związanej więzami krwi. Prawo do miłości, które konsekwentnie stara się wprowadzić do naszego ustawodawstwa Maria Łopatkowa, powinno odnosić się nie tylko do dziecka. W takim samym stopniu do człowieka sędziwego. A wprowadzenie prawa do miłości byłoby wzmocnieniem ujęcia człowieka jako istoty, która nie tylko myśli, ale zarazem czuje i przeżywa. Jest to sprawa nadrzędnej wagi wobec nasilających się postaw psychopatycznych w naszym społeczeństwie.